Nr 36. We Lwowie dnia 5. września 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Prof. dr. Maurycy Benedikt.

Życie duszy ludzkiej.

Przetłómaczył

Dr med. Ludwik Wolberg.

Warszawa 1897.

Autor od wczesnej młodości oddawał się z zamiłowaniem badaniom psychologicznym. Zawód lekarza ułatwiał mu to badanie. Chociaż bowiem nie lekceważył dzieł fachowych, z których czerpał zachętę i konieczne wskazówki, szukał poznania duchowej natury ludzkiej przeważnie „w księdze przyrody i życia, tudzież w dziełach poetów i historyków".

„Kończąc w roku 1893 sześćdziesiąty rok życia i wstępując w okres wieku, w którym chętnie ma się już za sobą wszelkie zadania życia, ażeby nie dręczyło go uczucie, że serce wstrzymać może swe skurcze, zanim mózg wyda wszystkie swe dźwięki" — postanowił autor uporządkować i ogłosić wyniki swych obserwacyj i rozmyślań w przeświadczeniu, że przydadzą się one tym, coby pragnęli rozjaśnić sobie zagadnienia duchowego życia. W ten sposób powstało dzieło, które autor przeznacza nie dla uczonych psychologów, ale dla „profanów" którzy nie mają ani czasu, ani chęci do ślęczenia nad szkolną psychologią, zajmującą się wyłącznie „teoretyczno-abstrakcyjnemi dowodzeniami". Układając je, miał on szczególniej na myśli lekarzy i prawników, dla których znajomość duchowej natury ludzkiej jest niezbędna.

W dziele autora dają się odróżnić dwie części: ogólna, w której on wykłada zasady psychologii, i szczegóły, w której zastosowuje powyższe zasady do wyjaśnienia zagadnień społecznych. Dwie te części nie równej są wartości. O ile druga jest pełna ożywienia i przedmiot swój traktuje wyczerpująco w granicach, jakie odpowiadają rozmiarom dzieła, o tyle pierwsza jest sucha, pozbawiona wszelkiej dokładności. Unikając, „abstrakcyjno-teoretycznych dowodzeń" trzyma się autor metody dogmatycznej. Byłaby to jeszcze wada najmniejsza, gdyby przynajmniej klasyfikacja zjawisk duchowych była dokładniejsza i ściślejsza ich analiza. Lecz właśnie pod obu temi względami psychologja jego najbardziej grzeszy. Prawda, że nie tyle mu chodziło o systematyczny wykład psychologji, ile o to, ażeby przygotować grunt dla swych uwag nad zagadnieniami życia społecznego, stanowiącemi główne zadanie jego dzieła. Z tego stanowiska zapatrując się, należy uważać jego psychologię jako wstęp, w którym na te tylko strony duchowego życia położony jest nacisk, jakie autorowi zdawały się wystarczające do wyjaśnienia najważniejszych spraw społecznego bytu. Wychodzi on bowiem z założenia, któremu niepodobna odmówić słuszności, że kluczem do rozwiązania wszelkich zagadek społecznego życia są uczucia, myśli i pragnienia ludzkie, że stosunki i urządzenia społeczne muszą się opierać nie na bezwzględnych jakichś zasadach, ale na rzeczywistych potrzebach swego czasu — muszą odpowiadać umysłowemu i moralnemu stanowisku społeczeństwa.

W całem dziele utrzymuje się autor na stanowisku doświadczalnem z wyjątkiem kilku punktów, w których bezwiednie zbacza od

niego, dawszy się zwieść pewnym uprzedzeniom, nabytym zapewne w latach młodszych, kiedy metafizyczna spekulacja panowała wyłącznie nad umysłami.

W pierwszym rzędzie należy do takich uprzedzeń jego zapatrywanie na teorję Darwina. Przeobrażanie się gatunków odrzuca on stanowczo, ogłaszając je za nieprawdopodobne. Podług niego każdy gatunek, nie wyjmując człowieka, jest oddzielnym tworem przyrody. Czemże jest ta przyroda? Siłą twórczą, która w swej mądrości powołując do bytu oddzielne gatunki, zaopatruje każdy z nich w narządy, jakie mu są niezbędne do wypełnienia jego przeznaczeń. Jak widzimy, jest to pojęcie czysto metafizyczne, wiodące autora do teleologicznego zapatrywania na zjawiska przyrodzone, które podlegają prawom niezmiennym, z góry ustanowionym. Że tego rodzaju zapatrywania nie mają nic wspólnego ze stanowiskiem doświadczalnem, że nawet są mu wręcz przeciwne, nie trudno dowieść. Najprzód, pojęta w powyższy sposób przyroda oznacza pierwszą przyczynę wszystkiego. Otóż filozofia doświadczalna wyklucza ze swych badań dociekanie pierwszej przyczyny, gdyż ta jest niedostępna dla rozumu ludzkiego, który po za zjawiska wyjść nie może. Jedynym przedmiotem jej badań jest świat zjawisk fizycznych i duchowych. Powtóre, przyroda, pojęta, jako pierwsza przyczyna, jest czczą abstrakcją, którą każdy dowolnie wypełnia treścią, jaką na razie uznaje za potrzebną dla swych wywodów dedukcyjnych. W ten sposób nic ona nie tłómaczy, gdyż sama wymaga tłómaczenia. Potrzeba bowiem wprzód dowieść, że rzeczywiście jest ona tem, za co się ją ogłasza. Tymczasem przyroda we właściwem swem znaczeniu nie jest niczem więcej, jak zbiorem zjawisk fizycznych i duchowych, dostępnych naszemu postrzeganiu. Opisanie tych zjawisk, wykrycie zachodzących między niemi związków, takiem jest właśnie zadanie wiedzy ludzkiej, posługującej się metodą doświadczalną. Jakoż wszystkim warunkom tej metody odpowiada jak najściślej teorja darwinowska. Tłómacząc powstanie gatunków, nie ucieka się ona do jakichś fikcyjnych sił, nie szuka ich przyczyny w czynnikach nadprzyrodzonych, ale w zwykłych siłach rzeczywistego świata, działających podług praw, które nauka stwierdziła, podług praw fizycznych i chemicznych. Jakakolwiek przyszłość czeka teorję Darwina, każdy nieuprzedzony musi jej przyznać wyższość nad innemi choćby tylko dla tego, że jest naturalniejszą od innych, a tem samem i prawdopodobniejszą.

W związku z zapatrywaniem autora na przyrodę, jako na siłę, celowo stwarzającą świat i nim rządzącą, zostaje jego pogląd na zadanie psychologji i na naturę życia duchowego. Na wstępie do swego dzieła powiada: „Najwyższą mechaniczną działalnością przyrody jest przemiana zewnętrznych fizycznych, jako też wewnętrznych życiowo-chemicznych objawów siły na objawy duchowe: świadomości, myślenia, uczucia i woli. Głównem siedliskiem tych przemian jest mózg. Zbadanie tego urządzenia przemiany, jego zdolności do działalności, jako też skutków i objawów takowej — oto właśnie zadanie naukowej wiedzy o duszy“. Podawszy takie określenie spraw duchowych i zadania psychologji, załącza autor uroczyste zapewnienie, że „tak postawione zadanie psychologji staje się od razu wolnem od wszelkich poglądów, wybiegających po za krąg poznania“ Że zapewnienia tego na serjo brać nie można, że polega ono złudzeniu, świadczy o tem choćby to, że przesłanką logiczną powyższego określenia spraw duchowych jest zapatrywanie autora na przyrodę, jako na pierwszą przyczynę, zapatrywanie czysto metafizyczne, „wybiegające po za krąg poznania“. Rozważane zaś samo w sobie, określenie to jest pogwałceniem metody doświadczalnej, która w swych wywodach musi opierać się na faktach sprawdzonych i dowiedzionych. Autor tymczasem dochodzi do niego drogą czysto dedukcyjną. Nadto, nie odróżnia on świadomości, jako zasadniczej cechy spraw duchownych, od samychże owych spraw, które stanowią szczególne odmiany świadomości, mające swą przyczynę w treści, jaką dostarczają świadomości wrażenia zewnętrzne i wewnętrzne. O naszych myślach, uczuciach i chęciach można słusznie powiedzieć, że są one przemianą sił zewnętrzych fizycznych i wewnętrznych życiowo-chemicznych, dokonywujących się w mózgu; ale nie można tego powiedzieć o świadomości. Wszystkie w ogóle siły, tak fizyczne, jak i życiowo chemiczne, sprowadzamy ostatecznie do ruchu materjalnego, do którego musimy także zredukować czynności mózgu. Otóż świadomości do ruchu mechanicznego w żaden sposób sprowadzić nie możemy. Przyczyna jest prosta. Inne są waranki postrzegania zewnętrznego, inne — wewnętrznego.

Formą postrzegania zewnętrznego jest rozciągłość, wewnętrznego — trwanie. Jak czucia barwy nie możemy sprowadzić do czucia dźwięków, pomimo, że rozważane pod względem przedmiotowym, są one pewnemi formami ruchu mechanicznego, gdyż każde z nich jest zjawiskiem oddzielnego procesu zmysłowego, tak również pojęcia świadomości, które się opiera na postrzeżeniu wewnętrznem, nie możemy utożsamiać z pojęciem o sprawie materjalnej, które się opiera na postrzeżeniach zewnętrznych, zmysłowych.

Autor wychodzi w swych zapatrywaniach z zasad monizmu niemieckiego, który w gruncie rzeczy nie jest czem innem, jak materja-

lizmem, doktryną tak samo metafizyczną, jak i spirytualizm. Otóż obie one nie wytrzymują naukowej krytyki. Jak jedna przyznaje materji bezwględne znaczenie, upatrując w niej istotę bytu, tak druga takież znaczenie przypisuje duszy, ogłaszając ją za jedyną substancją. Tymczasem materja i dusza nie są niczem więcej, jak abstrakcjami myślenia, oznaczającemi dwa szeregi zjawisk, zewnętrznych i wewnętrznych, zjawisk, które mają znaczenie przeważnie podmiotowe. Co się zaś tyczy ich znaczenia przedmiotowego, to polega ono głównie na tem, że zmuszeni jesteśmy odnosić je do bytów konkretnych, jakiemi są ciała nieorganiczne i organiczne, jako ich własności — bynajmniej przez to nie przesądzając o istocie tych bytów, która to istota leży poza granicami naszego poznania i nic o niej wiedzieć nie możemy, chyba to, że nie może ona być ani materją, ani duszą, gdyż to są pojęciami względnemi.

Pojmując sprawy duchowe, jako pewną odmianę spraw materjalnych, zastosowuje autor do ich wyjaśnienia zasadę zachowania energji, nie bacząc, że zasada ta, jak dotąd, nawet w zakresie zjawisk fizycznych nie wszędzie została sprawdzoną i jest raczej wymagalnikiem (postulatem) dla nauk przyrodniczych, nie zaś ich pewnikiem. Co się zaś tyczy zjawisk duchowych, to o zastosowywaniu do nich tej zasady mowy nawet być nie może dla tej prostej przyczyny, że nie wynaleziono jeszcze jakiejś miary, którąby pozwoliła porównywać pod względem ilościowym zjawiska duchowe z fizycznemi, zapomocą której możnε byłoby w każdym wypadku oznaczyć dla spraw mózgowych ich równoważniki duchowe.

(Dok. nast.) *Władysław Kozłowski (Lwów).*

Z tułaczej jazdy.

IV.

„Chodziki".

(Dokończenie).

Otóż ów Błażeljon miał szczególniejsze zamiłowanie do ogrodnika i nawet znał łacińskie nazwy niektórych roślin z osłuchania się. W Paryżu przepytał się najpierw o „Jardin des plantes" i chadzał tam na spacery. Któryś z ogrodników opowiedział o nim koleżance Gruszewskiej, zapalonej botaniczce. Stąd znajomość. Wtedy w kolonji była jeszcze większa ciekawość do typów. Zajęli się zaraz Błażeljonem wszyscy i bonom opływał jak pączek w maśle. Oprowadzano go po kolonji z tryumfem — któryś nawet kropnął o nim studjum psychologiczne p. t. „Chłop-turysta". W końcu Błażeljon zaczął naprawdę „dufać" w siebie i perorować przed słuchaczami. To był filozof prawdziwy — taki filozof, co to światło wiedzy z własnego pępa pompuje, miał również jedną książeczkę, z którą się prawie nie rozstawał, Taylora „Zmylność i moralność roślin". Jeszcze mu ją z Warszawy przywiózł w kraju jakiś student. Z tą książeczką Błażeljon cudów dokazywał: z niej czerpał sentencje na wszelkie okazje, z niej miał taką własną terminologją, której nikt dojść nie mógł. Ale co, uważacie, najciekawsza, to że miał prawdziwą manję stwierdzania wszystkiego „de visu". Opowiadał np. o swych wątpliwościach, co do istnienia królów polskich. „Dopiero — powiada — na Wawelu-m poznał, że prawda to wszystko. Jak mię dziad oprowadził po lochu, jakem dotknął tych trumien i po łacinie też przeczytałem — widzę — musieli być królowie i Kościuszko, kiedy im takie trumny posprawiali. Nie może tu być nijakiego oszukaństwa ni „negacji". Tutaj z Antkiem i z koleżanką Gruszewską przestawał, bo ci mu pokazywali swoje preparaty pod mikroskopem. Błażeljon obuchał się w końcu wiedzy mikroskopowej, jak członek Instytutu Pasteur'a. W końcu udało się Gruszewskiej zaflancować Błażeljona w „Jardin des Plantes". Bardzo go tam nawet cenili, bo był miejscami pracowity i wogóle dość porządny. Nawet awansował prędko z kopacza na rodzaj pomocnika przy jednym z ogrodników. W „Jardin des plantes" przebył Błażeljon półtora roku. Ja wyjeżdżałem na wakacje, a Błażeljon jeszcze był w Paryżu. Otóż wyobraźcie sobie, wracając z kraju wstąpiłem do Rzymu, żeby przecież coś widzieć na świecie. Udało mi się wyrobić sobie wstęp do ogrodów watykańskich i rozumie się — spotykam Błażeljona w charakterze kopacza watykańskiego. Poznał mnie Błażeljon pierwszy, bo by mi nawet na myśl nie przyszło szukać mazura pod włoskim kapeluszem. Pytam się go, czy widział papieża?

— Widziałem, mówi, i nierazem ojca świętego widział, ale trzy razy.

— Więc, powiadam, teraz jużeście spokojni, że jest papież nad narodem katolickim?

— Jest jużci on ojciec święty — jakże niema być — odpowiada Błażej. Ale widzę, że bonom jest jakby czegoś zafrasowany i markotny.

— Cóż, pytam, długo tu przy ojcu świętym zabawicie?

— Jak się da, jak się uda — a pana dobrodzieja jeszcze tu zobaczę?

— Przyjdźcie do mnie wieczorkiem, powiadam, to sobie pogadamy.

Tegoż wieczoru Błażeljon przywędrował do mnie. Czułem, że potrzebuje rozgadać się, że go coś nurtuje. Błażeljon skarżył się, że w Rzymie mu gorzej niż w Paryżu było, że mu brak towarzystwa panów studentów z któremi wszelką rzecz było można „analizować“.

— Tu proszę pana znam tylko jednego malarza — bardzo dobry pan, ale jemu nie w głowie żadna nauka. Sobie tylko dla własnej przyjemności kobiety z przeproszeniem obnaża i pędzelkiem macha od świtania do zmroku. Mnie nawet chciał jako Jana świętego przedstawiać, ale mu grzecznie podziękowałem.

Nareszcie, rozgadawszy się na dobre przy „chianti“, zwierzył mu się Błażeljon ze swej wielkiej troski.

— Panu dobrodziejowi wiadomo — zagadnął z nienacka — że ojciec święty siedzi na stolicy apostolskiej?

— Rozumie się, odpowiadam.

— A i to wiadomo każdemu, że Duch święty na apostołów zesłany nauczył ich mówić wszystkimi językami. — Inaczej nie mogliby apostołowie święci porozumienia mieć z narodami.

— Słusznie mówicie, Błażeljonie.

Błażeljon odchrząknął i pomilczał chwilkę potem nagle poczerwieniał, nabrał tchu i wypalił tak bez zatrzymania się.

— Zaczem ja przy boku ojca świętego ulokowałem się i niech sprawa moja będzie roztrząśnięta na sądzie boskim. Ale powiedziałem sobie: Nie potoś przez niemiecki i francuski i italjański kraj przewędrował, żebyś odszedł z niczem, nie może być inaczej tylko ojca świętego usłyszeć masz polską mową przemawiającego. Musi tak być, bo jeżeli ojciec święty nad narodami jest postawiony na miejscu apostołów świętych, to musi przemawiać w tej samej polskiej mowie, a w której błogosławiła nam najświętsza Matka Boska Częstochowska. — Ja też chcę zagadnąć ojca świętego, jak się zbliży do mnie na przechadzce. potem ojca świętego usłyszawszy, nie mam ja tu po co bawić, żadnej innej negacji ani zwątpienia nie mam — a tylko do swoich pociągnę z tem samem słowem ojca świętego.

Wypalił to Błażeljon jednym tchem, jak rzecz, którą po tysiąc razy sam sobie przepowiedział. Potem ulżyło mu znacznie, rozpytywał się o znajomych paryzkich, mówił o swych obserwacjach nad „italjanami“. Przy końcu znowu trochę się zaniepokoił, dowodząc mi, że całą Europę przeszedł, a nigdzie takiej bojaźni bożej nie poznał jak u nas. Czułem, że i to jest jednym z argumentów jego w sprawie polskiej rozmowy z ojcem świętym. Jużem go z tej strony nie tykał, bo mi go było żal. Pożegnaliśmy się z Błażeljonem i nie wiem dotąd co się z nim stało i z tą jego konwersacją. A malarz miał rację, że chciał z Błażeja Ewangelistę malować: powiadam wam typ był niezwyczajny — chudy, śniady z oczyma, zwłaszcza kiedy się zagnał za jaką „negacją“ jak dwa karbunkuły.

Wojciechowski czuł jakąś wielką sympatję i razem żałość do owego Błażeljona

— Szkoda — rzekł — że nic nie wiecie co się z nim stało. Facet wart ciekawości. Z takich ongi bywali sekciarze, zagorzalcy.

— A dziś uważacie z bonomów tych są chodziki — „sic transit gloria mundi“.

— Słuchajcie Kantecki — ciągnął Wojciechowski — jabym na waszem miejscu wstąpił do Rzymu, żeby się dowiedzić, co się dzieje z Błażeljonem.

Kantecki roześmiał się.

—Dobrzy sobie jesteście! Przedewszystkiem trzeba wam wiedzieć, że ja tej wakacji nie wracam do kraju, ale tu z jednym facetem chcę urządzić wycieczkę do Hiszpanji. Tu to po prostu wstyd być tak blisko i nie odwiedzić hidalgów, uważacie. Kantecki zaczął się rozwodzić nad osobliwościami Hiszpanii. Nie wiadomo skąd miał już o niej mnóstwo wiadomości dokładnych. Mówił o pięknej Sewilli opowiadał o novio i novia. Następnie przeszedł na równoległość procesu dziejowego Polski i Hiszpanji. Wszystko to prowadziło do jednej konkluzji: do konieczności zwiedzenia Hiszpanji.

Wojciechowski trochę przysłuchiwał się tym wywodem medyka, który mówił o wszystkiem i znał wszystko prócz medycyny — trochę zaś myślał o Błażeljonie i o jemu podobnych. Chwilami zdawało mu się, że Kantecki to także „chodzik“ niezmordowany, chodzik, przez kraje, dziedziny i gałęzie ducha pielgrzymujący niewiedzieć za czem ni dokąd... wpadała mu w ucho dziwna gwara Kanteckiego: „bonom..“ „baciarz...“ „novio...“ „gara...“ „franciszki...“.

Zdawało mu się, że po raz pierwszy dopiero ujrzał we właściwem świetle to, co go dotąd bawiło raczej, jako nowość sytuacji...

Paryż, 14. sierpnia 1897.

Jerzy Grot.

Z prastarej historji Śląska.

Die älteren Ortsnamen Schlesiens, ihre Entstehung und Bedeutung. Mit einem Anhange über die schlesisch-polnischen Personennamen. Beiträge zur schlesischen Geschichte und Volkskunde von Konstantin Damroth, Königl. Seminar-Direktor. — Beuthen O.-S. Verlag von Felix Kasprzyk. 1896. Str. 254 8⁰. Cena: 3 marki.

W zasobie językowym każdego narodu wybitne miejsce zajmują do poznania jego kultury i najstarszych dziejów ważne niesłychanie nazwy miejscowości. Przenigdy bowiem nie są one dźwiękami pustemi, dowolnemi, przypadkowemi, wszelkiego znaczenia pozbawionemi, lecz, jak każdy inny wyraz, są oparte na swym rodowym języku, polegają jako pojęcia umysłowe na pewnem znamiennem pojęciu, zawisłe są od stosunków wewnętrznych i stopnia kultury każdego ludu, lecz nie mniej i od właściwości przyrody kraju rodzinnego. Przeważna zatem ich część stanowi odwieczne pomniki nie tylko języka, lecz i historji, mianowicie zaś kultury każdego narodu. W zawiązkach swych sięgają one czasów, o których żadna piśmienna wieść pamięci naszej nie doszła. Często są one jedynemi jeszcze śladami ludów, zatraconych dawno w katastrafach dziejowych, jedynymi wymownymi świadkami narodów, gęsto niegdyś rozsiadłych na obszarach, które już od wieków postradały, ulegając orężnej przemocy. Starodawne dokumenta owe przedstawiają jasny obraz myśli i uczuć pokoleń wymarłych, opisują nieustanne ich walki z wrogiemi potęgami, które im przyroda w postaci nieprzebytych lasów i niedostępnych bagien stawiała; dokładnie zdają sprawę o twierdzach i okopowiskach przeciwko zewnętrznym nieprzyjaciołom, wyjawiają ciekawe szczegóły o właściwym każdej krainie świecie zwierzęcym i roślinnym.

Jednakże owe prastare, tak bogatą treść w sobie kryjące zabytki są osłonione pewnym czarem tajemniczym, który zrazu tylko nieliczni badacze przeniknąć umieją. Objaśnianie nazw miejscowości nie należy do najłatwiejszych zadań etymologji. Zwietrzałe bardzo z biegiem czasu, pokaleczone i poprzekręcane formy podobne są często do zużytej i wytartej monety zdawkowej, sprawiając na pierwszy rzut oka wrażenie skostniałego, obumarłego, nieokreślonego tworu językowego, w którym ostatnia iskierka ożywiona dawno już na pozór zagasła.

Trudnego, chociaż w rezultatach bardzo wdzięcznego zadania takiego, polegającego na odgadnieniu i wytłómaczeniu treści i znaczenia słowiańskich nazw miejscowości w ogólnych, najważniejszych zarysach dokonał już Miklosich, arcymistrz lingwistyki słowiańskiej, w dwóch swych rozprawach p. t.: „Die Bildung der Ortsnamen aus Personnamen im Slavischen“, w tomie XV Pamiętników wiedeńskiej Akademii Umiejętności z r. 1864, i „Die Bildung der Ortsnamen aus Appellabinen im Slavischen“, w tomie XXI i XXIII tychże Pamiętników z r. 1872 i 1874.

Wszakże mimo niewzruszających podwalin, rzuconych przez Miklosicha obfitego i troskliwie dobranego materjału, dalsza uprawa niwy etymologji słowiańskich nazw miejscowości nie tak raźno aż do lat ostatnich postąpiła, jakby, się spodziewać należało po uprzątnieniu najgłówniejszych trudności i znakomitem narysowaniu gmachu lingwistyki lokalnej.

Najdrobniejsza zaś pewnie cząstka zachodów etymologicznych przypadła w udziale słowiańskiemu Śląskowi pruskiemu.

Aby pominąć bowiem swawolne harce dorywczych amatorów na polu etymologocznem, który z tego powodu wszelkiego naukowego znaczenia bezwarunkowo odmówić należy, doszły z tego właśnie zakresu etymologicznego wiadomości naszej jedynie następujące prace:

1) Doskonała rozprawa prof. Nehringa „Schlesische Ortsnamen auf — witz (itz.“)

2) Gruntowna, choć przedmiot w części tylko wyczerpująca praca prof. Weinholda „Zur Entwickelungsgeschichte der Ortsnamen im deutschen Schlesien“, zamieszczona w tomie XXI czasopisma śląskiego Towarzystwa historycznego z r. 1887.

3) Źródłowe, wyborne studjum profesora Drzadżyskiego p. t.: „Die slavischen Ortsnamen Schlesiens“, którego część pierwsza, traktująca o słowiańskich nazwach miejscowości głubczyckiego powiatu na Górnym Śląsku, pojawiła się w r. 1896.

Zrazu tyle dziwną wstrzemięźliwość badaczów przeważnie tem pewnie tłomaczyć wypada, że jeśli objaśnianie nazw miejscowości nawet w tych ziemiach, w których, począwszy od założenia osad aż po dzień dzisiejszy, jeden i ten sam język się utrzymał, rozliczne trudności napotyka, tem więcej obcego chwastu uprzątnąć musi dociekanie etymologa w tych stronach, dokąd, jak na Śląsk właśnie, szczepy germańskie wtargnęły, z starszą ludnością słowiańską się zmięszały, a przez to pierwotne nazwy miejscowości tem nielitościwiej poprzekręcały.

Króciuchny ów wykaz prac, dotyczących powstawania i znaczenia słowiańskich nazw miejscowości na pruskim Śląsku, wzrasta obecnie o powyżej cytowane dzieło Konstantego Damrotha, o którem ścisłą i sprawiedliwą zdać sprawę zdaje się nam być bardzo na czasie.

Pamięć niedawno zgasłego autora cieszy się na polskim i niemieckim Śląsku szerokim

i z wszech miar zasłużonym rozgłosem. Wyświęcony na księdza piastował on godnie urząd królewskiego dyrektora seminarjum nauczycielskiego w Kościerzynie. Opolu i Proszkowie i wydał liczne drobne i obszerniejsze prace w niemieckim języku, pomny zaś pochodzenia swego z łona górnośląskiego ludu, chętnie mówił i pisał po polsku, a utworami swemi poetyckiemi, publikowanemi pod pseudonimem Czesława Lubińskiego w kilku tomach p. t. „Wianek“ w r. 1867, „Z niwy śląskiej“ w r. 1893, „Wiersze ostatnie“ w r. 1896, odznaczającemi się niezwykłym talentem i rzewną tkliwością, a przedewszystkiem szczerem przywiązaniem do rodzinnej ziemi i ojczystego języka, zjednał sobie pomiędzy ludem górnośląskim wielki mir i rzadką popularność.

W spuściźnie zbyt wcześnie zmarłego ks. Konstantego odkryto jednę jeszcze ściśle naukową pracę, którą, chociaż niezupełnie wykończoną, bez większych zmian, szanując cienie przyjaciela szczerego, wydał ks. J. Gregor, proboszcz w Wielkiej Płużnicy na Górnym Śląsku. Jest nią owo dzieło o powstaniu i znaczeniu starszych nazw miejscowości na śląskiej ziemi.

Zaraz we wstępie zakreśla uczony autor kilku energicznemi rysami podstawy swych niezbitych wywodów, a pośrednio tylko polemizując przeciw nader płytkim hipotezom uczonych niemieckich nowszego autoramentu, sprowadzających, według ulubionych obecnie haseł, całe słowiańskie osadnictwo na Śląsku do jednego i to germańskiego mianownika, wychodzi z tego słusznego założenia, że już na kilka wieków przed narodzeniem Chrystusa całą wschodnią Europę, od Wisły aż po Łabę i Wezerę, a zatem i obszerne porzecze Odry, zamieszkiwały słowiańskie ludy, że jednakże przez dłuższy czas, przynajmniej w części, z swych siedzib przez szczepy germańskie wyparte zostały, aż wreszcie w kilka wieków po Chrystusie zajęły stale odwieczne swe siedliska i naonczas tak ziemiom, górom i rzekom jak i założonym przez siebie osadom właściwe nazwy ponadawały, że później znowu, kiedy niemieckie plemiona w słowiańskie dziedziny, a mianowicie na Śląsk wtargnęły, Niemcy, którzy jako przybysze pierwotnych nazw miejscowości słowiańskich w wzajemnych stosunkach bardzo często zniewoleni byli używać, przyswajali je sobie w właściwy sposób, do własnego języka naginali i często do niepoznania pozmieniali je i poprzekręcali, ponieważ znaczenia ich nie rozumieli, a nadto trudnych kombinacji spółgłoskowych i pewnych brzmień słowiańskich, których język niemiecki wcale nie ma, wymówić nie umieli. (Dok. nast.).

(Dziennik poznański). *Strzała.*

Jak się bawimy u siebie.

(Kartka z życia litewskiego).

(Ciąg dalszy).

W czerwcu na Ś-go Antoniego, podług dawnego zwyczaju wybrałem się na odpust do Rohaczewa. Nie dlatego, abym tak już wielce był w nabożeństwie gorliwy — eh, to nie! Ale zjazd w ten dzień z bliższych i dalszych okolic nader był liczny i raz do roku spotkać się można było ze znajomymi, i zabawić się nieźle. A miałem tam wśród znajomych pewne czarowne oczęta czarne, co mię silniej od wszystkich łask odpustowych ciągnęły...

Po sumie wyszliśmy z kościoła, stoimy gromadką młodzieży na cmentarzu, witamy się, poznajemy, gawędzimy, a raz poraz z tajonem biciem serca zaglądamy, rychło li białe sukienki zaszeleszczą ze drzwi zakrystji. Naraz czuję, czyjeś ręce ciężko mi opadły na ramiona.

Odwracam się — przedemną jakiś młodzieniec dorodny w bogatym mundurze ułanów, wąs zawiesisty, oko orle, żywe, a na twarzy uśmiech co wprost za serce chwyta.

— Domek! — woła na mnie — nie poznajesz? — i oczy zamigotały mu nagle łzą nieproszoną.

Gdzieżbym tam poznał! Chyba po tym uścisku, kiedy mię do piersi, po dawnemu, jak brat, przytulił.

I stanęliśmy od razu tak, jakby owych dziesięciu lat rozłączenia między nami nie było.

Wróciwszy do domu, Karol podał się do dymisji — a wyszedł z rangą kapitana, przy pełnym mundurze — i odpłakawszy rodziców, uczciwszy pamięć pięknemi nagrobkami, zabrał się do gospodarki. Robota, jak to mówią, zakipiała mu w ręku. Co prawdę musiał tylko wieść ją dawnym trybem, bo gospodarka znajdowała się na najlepszej drodze, i rządców a ekonomów zostawił ojciec doborowych. A co było od zajęć czasu wolnego, Karol u mnie w Stepach go spędza, albo namówi mnie i ruszamy razem gdzie do sąsiedztwa.

A nasze sąsiedztwo wówczas, to nie to, co teraz ot... i pan Dominik wejrzenie pogardliwe potoczył po sali. — Zjeżdżało się po osób pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, a na bale nieraz więcej niż sto się zebrało. Młodzież raźna, wyskoczna, dziarska, panny jak kwiatki, rumienią się tylko a uśmiechają, kapela znakomita, jadła i napoju aż stoły się gną i — hulaj dusza! Nieraz bal taki cały tydzień się przecią-

gnął, a nam się zdawało, że to jeden dzień długi bez wschodu i zachodu, dzień niezmąconej, nieukróconej swobody i wesołości. Gdybyście chcieli, to nawet nie potraficie tak się bawić!

Karol rej wodził wszędy. Tak się to samo przez się złożyło, że nikomu z nas na myśl nawet nie przyszło stawać z nim do współzawodnictwa; ustąpiliśmy mu pierwszeństwa we wszystkiem, jakby mu się tak słusznie należało. Trudnobo było nie ustąpić, kiedy on oczywiście wszędzie był górą.

Czy na polowanie się zbierzemy, to nikt nie dotrwa mu w wytrwałości i energji, jak mu ta chętka myśliwska krew rozpali, czy strzelanie do celu, to nikt tak raz porazu złotówki w lot nie ubije. A na koniu to trzymał się jak wrosły, zdawało się, że nic go z siodła wyrzucićby nie potrafiło: a taką miał rękę że każdy koń, choćby najzuchwalszy jak trusia pod nim szedł; nozdrzami fyrkał, uszami strzygł, nóżkami jak panna w tańcu przebierał, a szedł — bo czuł tę żelazną rękę na wędzidle. Nieraz gdy tak Karol w susach objedzie dziedziniec a potem nagle osadzi konia przed gankiem, że aż wryje się w piasek kopytami, to, dojść spojrzeć po oknach: twarzyczek pełno, cisną się ciekawe główki. oczy zachwytem błyszczą i usta się śmieją.

Lecz laurów najwięcej bodaj zbierał Karol na sali, bo zręcznością i wdziękiem w tańcu wszystkich przewyższał, a tańczył tak, jakby zmęczenie nigdy przystępu doń mieć nie mogło. Kiedy stanął w pierwszej parze mazura, a musknąwszy wąsa, wyprostowawszy kibić, zwrócony z gracją ku tancerce, puścił się po sali posuwistym pląsem, to taka odeń szła powaga a buta, tyle ognia wlewał w szybkie a swobodne zwroty, że malować tylko! Szmer się rozchodził po sali, z najdalszych pokojów biegli goście aby popatrzeć na tancerza, a starzy mówili: „oto już ostatni, co tak tańczy“.

Rozumie się samo przez się, że powodzenie u płci pięknej Karol miał ogromne. Dziś jeszcze nie znajdzie się tu okolicznie żadna z pań, któraby nie zarumieniła się lub nie westchnęła ukradkiem, gdy usłyszy znienacka wymówione jego imię

My, mężczyźni, kochaliśmy go za poczciwe serce, otwarty charakter i wielką — o, wielką — prawość. Lecz dla kobiet posiadał nadto jakiś szczególny wdzięk, śmiały a wykwintny, dzielny a czuły, który działał na nie poprostu jak czar. Wszystkie panny kochały się w nim na zabój, a mogę panią poinformować — (tu pan Dominik głos zniżył) — że nie tylko panny...

Czyby na serjo o której Karol zamyślał, o tem nie wiem, bo przypuszczać mogę, że i on sam nie widział, lecz że niejedna mu się podobała, to pewne. Zdarzały się nieraz z tego powodu różne komplikacje. Ja sam, (pan Dominik znów do szeptu głos zniżył) trzy razy stawałem mu za świadka w honorowej rozprawie...

Ech, miły Boże, czy może co równać się z młodością? Cały świat stoi dla niej otworem i niema nic niepodobnego. Ale bo też i czasy były inne, nie to, co teraz. Jakie życie, jakie dostatki! A i swobodę mieliśmy większą, i prawa większe...

Tu pan Dominik zapalił cygaro i goniąc dym oczami zamyślił się przyjemnie o dawnych czasach, kiedy to żyło się tak wesoło i tak bez troski o jutro.

— Lecz cóż się stało z Chaleckim? Gdzie obecnie przebywa? bo jako tu o nim nie słychać.

Rysy pana Dominika zestzywniały odrazu.

— Pani nie wiesz. co się z nim stało?... A tak pani nie wiesz, dokończył z goryczą i pochylił się nad cygarem, aby je z prochu otrząsnąć.

— Zaczął się był u nas podówczas — ten ruch. Zrazu nieznacznie — ten i ów słodko przebąknie, tu książeczka, tam gazeta jakaś się pojawi i krąży po sąsiedztwie z rąk do rąk podawana. A potem po kościołach liczniej zbierać się zaczęli, dysputowali na cmentarzu, huczeli na plebanji u proboszcza. A potem jeszcze zaczęły się i śpiewy.

Machnął ręką, jakby odganiając jakiś obraz natrętny, lub myśl niemiłą, potem podniósł głowę i z determinacją żywo wyrzucił z siebie:

— Z góry wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Śpiewali, gadali, krzyczeli, a czego warta była robota?

I raz po raz zaciągnął się cygarem z jakąś zaciętością głuchą.

— Chcieli i mnie wciągnąć; boczyli się na mnie, obgadywali. Nie, dziękuję! Wiedziałem, na czem się to skończy; niech tam sobie gadają, ręki do zarzynania się przykładać nie będę... I jakoś wszystko naraz w sąsiedztwie się popsuło. Potworzyły się koterje. Zabawy ustały, żałobę przywdziano; jakiś niepokój powiał po okolicy.

A najbardziej burzyło się chłopstwo podżegane przez popów.

Uwolnieni z pańszczyzny bardzo się nam stawiali, i czuło się, że nawet w domu własnym, pod własnym dachem ma się wrogów naokoło, którzy każdy krok szpiegują i czyhają na pana. U mnie to wyjątkowo było jeszcze inaczej. Chłopi mnie lubili, nie krzywdziłem ich, a może trochę i dlatego żem jakoś od dzieciństwa za pan brat był z nimi. Z domu niewyjeżdżałem prawie; wolałem w swoich stepach siedzieć i nieciekawy byłem ani słyszeć, ani wiedzieć, co się naokoło dzieje. Do Janowa tylko,

do rodziców dojeżdżałem często. Pamiętam raz zaraz po Wielkiejnocy, siedzimy jakoś z ojcem w wieczór przy kominku. O tem, o owem słówko czasem przerzucim: zresztą cicho w pokoju, deszcz tylko z wiatrem dudni wściekle o szyby. Miałem wracać do stepów zaraz po wieczerzy, ale że noc taka ciemna a dżdżysta wypadła, więc zniewolili mię rodzice abym u nich przenocował. Siedzimy sobie tak tedy we dwójkę, aż tu nagle zatętniło coś w podwórzu.

— Grzmot? — spytał ojciec podnosząc głowę.

— Jakby ktoś zajechał — odpowiadam.

— Gdzieby tam! W nocy, na taki deszcz.

A tu słyszę i koń parsknął. Podchodzę do okna; ciemno, choć oko wykol, a tylko pod gankiem bieleje coś jak para białych koni. Karol! on jeden tylko w sąsiedztwie miał białe konie. Coś jakby mię tknęło; nie nadaremny ten przyjazd!

A tu i Karol sam wchodzi. Chociaż płaszcz w sieni zostawił, przemokły był całkiem, aż mu włosy na skroniach przylgły od deszczu. Uśmiechał się do nas od progu, z uśmiechem, swobodnie podszedł ojcu rękę ścisnąć — a jednak widzę odrazu, że w tem coś jest!

Po tym przygotowanym uśmiechu, po tej robionej swobodzie poznałem. Począł coś mówić o powrocie do domu, o schronieniu się przed ulewą, a ja widzę że zmyśla, i ojciec nie słucha nawet, a tylko spiesznie wstał, na sługi zawołał, aby przekąskę i ogrzać się czem dano.

Do wieczerzy i matka moja wyszła. Karol zmiata talerze zamaszyściej niż potrzeba, popija wino i mówi, mówi bez końca, przeplatając gęsto śmiechem. A plótł jakieś historje stare, jakieś anegdotki paryskie, a teraźniejszych spraw i bliskich ludzi ani nie dotknie. Ze dwa razy matka moja o coś pytać próbowała, ale tu ojciec postawi wnet jakieś inne, dalekie od rzeczy pytanie i Karol zbywszy matkę półsłówkiem, zwraca się do niego, odpowiadając długo i szeroko.

Siedzę na uboczu i milczkiem czekam niecierpliwie, kiedy się ta gra skończy. Około północy powstał nareszcie mój ojciec.

— No chłopcy, spać! Ruszajcie do siebie na górkę.

Miałem u rodziców pokoik swój na górze, gdzie zawsze w razie potrzeby nocleg znajdywałem gotowy.

— Wyśpij się dobrze Karolu — mówi ojciec — a jutro pogadamy... — i patrzy mu bystro w oczy, jakby temi słowami chciał go o coś pytać.

— Jutro ze świtaniem już odjadę — odrzekł Karol.

— Taak? — spytał ojciec i westchnął. No, jeśli tak, to bywaj zdrów. I niech cię Bóg błogosławi! — dokończył z powagą i uroczyście.

Karol schylił się nisko przed ojcem i rękę jego do ust przycisnął. A ojciec ujął głowę jego obiema rękami, pocałował i znak krzyża nad nią zakreślił.

Potem Karol stanął przed moją matką, podniósł do ust jej rękę, i nagle klęknął; a one drżącymi usty słowa pożegnania wyszeptała i jak ojciec, krzyż nad głową jego uczyniła.

I niceśmy więcej nie mówili; cisza dziwna zalegla w pokoju.

Porwał się Karol z klęczek a schwyciwszy czapeczkę, strząsnął czarnę czuprynę i czoło podniósłszy, blady wyszedł z pokoju. Ja za nim. Milcząc przebiegliśmy schody i drzwi do mego pokoju otwarte.

(Ciąg dalszy nast.) *W. Dalecka.*

Błędy językowe.

49. Błędnie mówimy: *przyjąć udział* w czemś, zamiast *wziąć*, *brać udział*; *przepuścić*, zamiast *opuścić*; *oczyścić* (plac, miejsce), zamiast *opróżnić*; *odkryć* i *zakryć* (zakład, szkołę), zamiast *otworzyć* i *zamknąć*; *mało tego że...* zamiast *nie dość tego*, albo *nie dość na tem*; *z tem, że...* zamiast z *tym warunkiem*, albo zastrzeżeniem, *że...*

50. Mówić i pisać *wydrapać się* na górę, *wyleźć* na wieżę, *wyjść* na wierzchołek itp., zamiast *wdrapać się*, *wleść*, *wejść* itp., jest prowincjonalizmem galicyjskim. *Wydrapać się*, *wyleźć*, *wyjść* i t. d. można tylko *z czegoś*, ale nigdy *na coś*.

Wiadomości bibljograficzne.

Chmielowski Piotr dr. Zarys najnowszej literatury polskiej, 1864—1897, wyd. IV. przejrzane i znacznie powiększone Kraków 1898, w 8-ce str. XI., 516 i 2. nl.

Grabieński Wł. Dzieje narodu polskiego, część I. Kraków 1897, w 8-ce, str. 280 i 1. nl.

Z drukarni Z. Golloba.